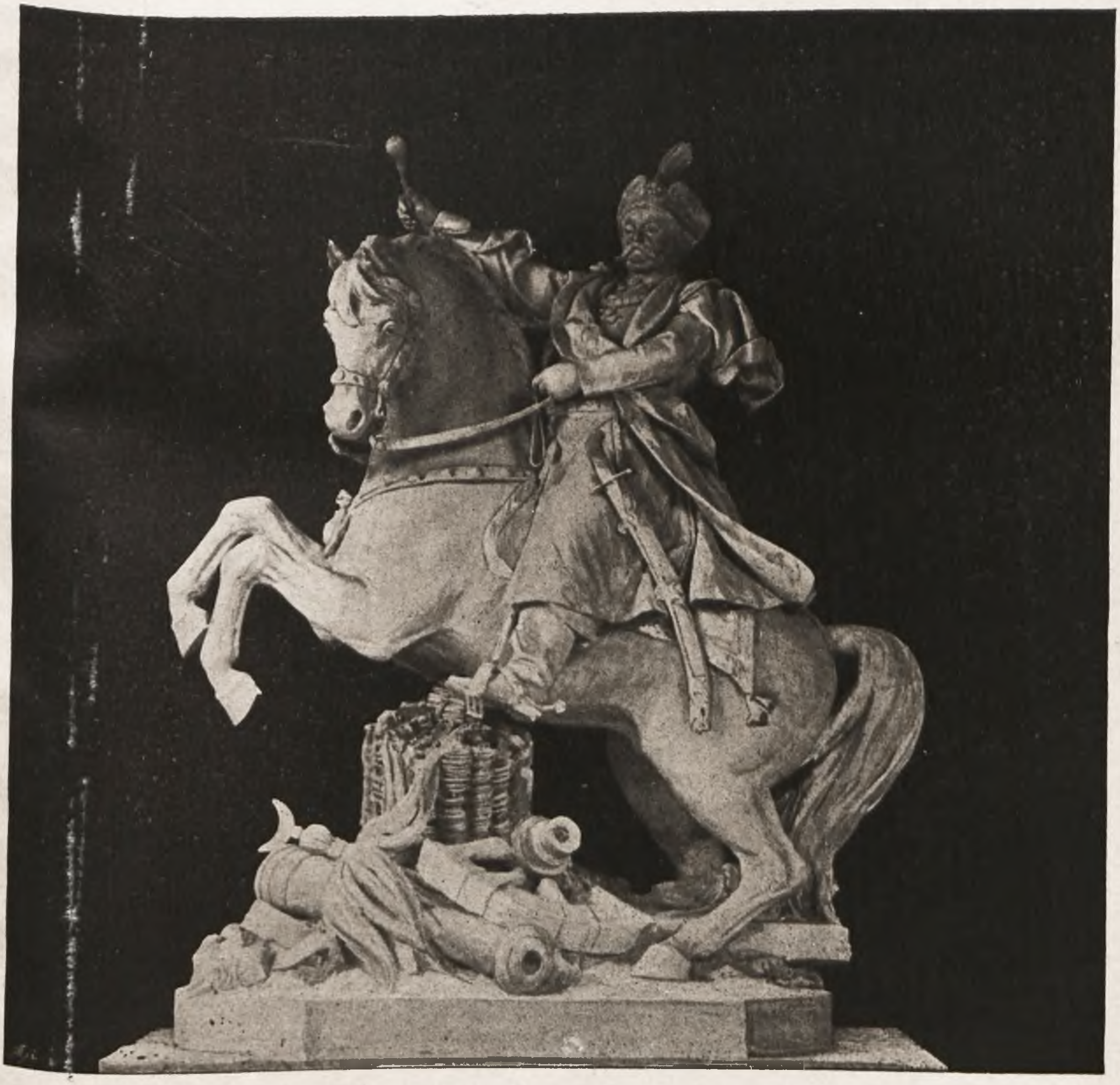
Nr. 25. We Lwowie dnia 21. czerwca 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



POMNIK JANA III. SOBIESKIEGO,

który ma stanąć we Lwowie na Wałach Hetmańskich staraniem Rady miasta Lwowa.

Rzeźba dłuta Tadeusza Barącza.

NIEDŹWIEDŹ.

(Z cyklu poezji prozą: „Łzy i uśmiechy).

(Dokończenie).

Brzmiało to gładko, ale bardzo niepewnie. Siostra moja kazała przynieść chleba i trochę miodu na miseczce. Duży kawał chleba pokazała niedźwiedziowi z ganku. Zwierzę zamruczało radośnie; zaczął skakać, kłaniać się, stanął na swej beczułce i łapami błagał do góry, a oczy miał rozpaczliwie głodne. Siostra moja zwróciła się ku schodom.

— Mamusiczka! — krzyknęły dzieci — niedźwiedź!

Ale mamusia była odważna i poszła. Cygan szarpnął niedźwiedzia, aby złaził z beczki i zwierzę aż schwyciło się łapą za pysk zakrwawiony.

— A... pisnęło któreś z dzieci — boli go... boli... — Dziedziczna, złota żyła serca odzywała się już w maleńkich. Tymczasem zbliżał się do schodów szary, smutny, nędzny, śmieszny, rozbolały zwierz, a z góry, ku niemu, z wyżyn miłosierdzia, schodziła prześliczna postać kobiety, w skromnej białej sukni, w koronie czarnych włosów nad śnieżnem czołem. Przypomiały mi się słowa poety: »Bądź dla zwierząt człowiekiem, a dla ludzi duchem«... Położyła na beczułce kawał chleba i miseczkę z miodem. Kudłacz chciwie pożerał, wzdychał ciężko, łzy mu z oczu ciekły, łańcuch w jedzeniu przeszkadzał, jadł i patrzył niespokojnie na następny kawał chleba w ręku białej Pani, która w subtelnem swem współczuciu, nim jedno połknął, kładła mu już drugie przed oczy. Pół bochenka tak poszło wraz z miodem. Pani nachyliła się nad głową niedźwiedzia i obejrzała ją pilnie, potem słodki uśmiech przeleciał jej usta, a za nim rozkaz w głąb domu, i Jędrzej, rad nie rad, mrucząc, że jeszcze jak żyje niedźwiedzi nie obsługiwał, poszedł i wrócił z flaszeczką małą, szklanką letniej wody i gąbką. Cygan przytrzymał poraniony łeb niedźwiedzia, Pani, delikatnie, letnią wodą, obmyła zakrwawione miejsca, a potem zaczęła cierpliwie z flaszeczki lać krople ciemno-złotawego płynu. Był to jakiś balsam lepki i przyjemnie pachnący, który nieledwie że hermetycznie zamykał ranki, koił ból, chłodził i uśmierzał. Niedźwiedź zrazu się cofał nieufnie, nie wiedział co to będzie, ale kropelki musiały mu natychmiastową przynieść ulgę, bo wysunąwszy głowę z rąk cygana, sam siedział cicho, i wdzięczne, stroskane swe oczy zwracał ku dobroczynnej ręce, która go ratowała. Na tle pogodnego, kwietniowego zachodu odcinał się jaskrawo ten szczególny, kontrastowy obraz cygańskiej bandy, wynędzniałego niedźwiedzia, siłacza pewnie ongi, dziś rozbitka, poddającego cierpiącą głowę pod łagodne dotknięcie dłoni tego białego zjawiska, które klasyczne swe czoło pochylało z litością nad niewolniczą dolą zwierzęcia.

— Czy wy wiecie — rzekła moja siostra — że to niewolno tak męczyć zwierza! jak się będziecie tak znęcać nad niedźwiedziem, głodzić go i szarpać do krwi, to was można zaskarżyć w mieście i odbiorą wam pozwolenie włóczenia się z takiemi sztukami!

— Ja go tam nie męczę! żebym się stąd nie ruszył! — klął się cygan.

— Jak Boga kocham! — wrzasło cyganiątko z trąbką, — on lepiej je niż my! żebyśmy tak doczekali jut...

— Nie zaklinajcie się tak, gdziebyście wy mu trzy razy dziennie jeść dawali! albo to prawda! Spokój mu dajcie przez parę dni, niech mu się rany pogoją... resztkę tego balsamu weźcie... no, i idźcie już z Bogiem.. a nie męczyć go! — dodała Pani gładząc na pożegnanie znużony łeb niedźwiedzia, który widząc, że dobroczyńca odchodzi, podniósł się na dwóch łapach, westchnął i dygnął głęboko, z westchnieniem.

— Jaki grzeczny! — zawołały dzieci.

— A to mądry dopiero! — zauważyła niańka.

— Taki biedny... szepnęła moja Siostra, — zwierz — a wdzięczny!

Cygan wsunąwszy do kieszeni zarobek czworonożnego artysty huknął na swoją zgraję i zniknął za bramą...

My wróciłyśmy do pokoju, siostra moja nuciła dalej ludową pieśń Koszata, dzieci gwarzyły między sobą pod silnem jeszcze wrażeniem, ja wzięłam się do przerwanej roboty, ale mi nie szło.. splątały się rytmy w mej duszy, klocki moich myśli układać się dalej nie chciały w wieczne miasto ludzkich marzeń, pożądań, ideji; wrażenia swojskie i dzikie, dobre i straszne mieszały się i przewracały wzajemnie, coś złego, nieubłaganego, przeciw czemu byłam nieradna i bezsilna tłoczyło mi serce.

Z daleka dolatywał jeszcze bęben cygański i ten niedźwiedź nie mógł mi zejść z pamięci. Widziałam go jak z temi łzami i krwią ciekącą powoli w głąb kudłów, on tańczy głodny, skacze znużony, ku pośmiewisku gawiedzi.. Co za nędzne życie pełne szturchańców, na łańcuchu rwącym ciągle za jeden nerw, wśród krzyku, bębnienia i nawoływań... Odłożyłam mój kajet z niechęcią.. co po tych wierszydłach, które nikomu ulgi nie przyniosą, prawdziwej, choćby fizycznej ulgi! choćby, jeśli nie ludziom — to zwierzętom! Gdzie pieśń taka, którą do rany przyłożyć, choćby temu niedźwiedziowi? Gdzie strofy takie, któreby kapały balsamem dobroczynnym w rozjątrzone blizny jakiegokolwiek stworzenia!

Dalekie rytmy trąbki szydziły z wszystkich poezji moich, które wydały mi się niczem, zerem,

czczem bawidełkiem, wobec tego kawałka chleba, tej miseczki miodu, tego kojącego lekarstwa, któremi siostra moja w chwili, rzeczywiście boskiego natchnienia miłości, obdarzała, ratowała swego wędrownego, nieszczęśliwego gościa — niedźwiedzia.

Co to się bolesnych rzeczy włóczy po świecie, wśród huku, napędzania, pogróżek rzeczywistości! Ile to łańcuchów rwie za nerwy serca, myśli, wspomnień, dumy; ilu to cyganów korzysta z wysiłku słabych istot; ile to szarpaniny fizycznej i moralnej staje się widowiskiem na gościńcu ludzkiego żywota... Oj, niedźwiedziu! po co ty tu zaszedłeś, niedźwiedziu!

...I myśl moja zanurzała się coraz głębiej, coraz dalej — dawniej... w tłum ludzkości; w ten tłum, który umie być i skrzydlatym zastępem, lecącym na walkę za wolność i prawo i zgrają bezmyślną, oklaskującą tragiczny jednostki los, i hufcem szlachetnych szermierzy, kroczącym śmiało i ofiarnie ku słonecznym przyszłości dniom, i bandą sobkowską, karmiącą się robocizną, niewolniczo ujętych siłaczy...

...I myśl moja zanurzała się coraz głębiej... dalej i dawniej.. i widziała z przerażeniem, jakiegoś wielkiego, prostego, nieświadomego siebie — siłacza, ciągnionego, tumanionego, gnębionego; który w głodzie i strachu tańczył, jak mu kazano, zarabiał i szedł za przedsiębiorcami straszyć, obdzierać lub śmieszyć ludzi.

Nie był przecie zwierzęciem; choć czarny, kudłaty, czerwonoskóry, czy biały... miał wielkie ludzkie, stroskane oczy, miał pojętność tak dobrą, jak jego władzcy, miał nerwy serca, pragnień i godności i czuł z oburzeniem, że go szarpano bezkarnie... więc wstrząsał nieraz łańcuchem brutalnie i dziko, i groźną twarz swoją wyciskał na odwrotnej stronie złotego medalu, wybijanego przez dziejopisów na cześć prześwietnej niby epoki... Oh, niedźwiedziu... po co ty się zjawiłeś w mojej pamięci... w tunice greckiego heloty, w hlamidzie rzymskiego plebejusza, czy gladjatora, w czerwonej przepasce murzyna, w papuzim pióropuszu indjanina... w płótniance chłopa, w mundurze przepracowanego urzędnika, w dziurawej robotnika bluzie, w wytartem odzieniu myśliciela... Wszędzie i zawsze ty byłeś... na każdym szczeblu społeczeństwa, w każdym czasie, w każdej strefie... ciągniony na łańcuchu przemocy, nadużycia i nędzy... Ty, odwieczny siłaczu ciężkiej pracy, cześć tobie!

I myśl moje rozglądała się coraz szerzej... dalej... dokoła... i witała coraz liczniejsze zastępy, śpieszące swobodnie na dobrowolny, umiejętny zarobek... coraz więcej takich rąk zjawiskowych, wyciągniętych z ulgą, ratunkiem, pociechą... coraz głośniejsze tętno złotej żyły serca nad bratnią niedolą: — a, boli..

Może ty znikniesz kiedyś z powierzchni ziemi, ty, pokrzywdzony, łańcuchowy siłaczu? Może zostaniesz tylko wreszcie pamiątkowym mamutem z okresu lodowego egoizmu ludzkości?... a na podstawie ogniowych miłości pokładów, zakwitnie niezależnej, życiodajnej pracy świat?... Co? mój niedźwiedziu co?...

Szczęsna.

---

11)

Dr. FAUST.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

Naraz uczuł chłodny powiew za plecami; obejrzał się, ręka chorej drgnęła w jego ręku.

— Jeszcze chwilę.

Pod palcami czuł puls zamierający. Chłodny powiew powtórzył się raz jeszcze. Chora wyszeptała kilka wyrazów zwolna, z wysiłkiem; pochylił się ku niej rozpromieniony!

Wtem pies zaszczekał i rzucił się gwałtownie ku drzwiom.

We drzwiach stanęła matka przerażona, z szeroko otwartemi oczami.

— Panie... tam głos jej słyszałam... Ona cierpi, strasznie cierpi! Nie chcę... tych leków!... Nie chcę, dość już! Bóg pana ciężko za nią skarze!

Odtrąciła go ręką; ujęła dziewczynkę pod ramiona i posadziła na szeslongu.

Jasna główka opadła na piersi, jak martwa.

Pies patrzał na matkę, to na córkę i machał ogonem.

Doktór zżymnął się; w pierwszej chwili chciał ją za drzwi wyrzucić; spojrzał na twarz i spuścił oczy...

Obudził chorą, podał szklankę wina.

Matka odtrąciła rękę ze szklanką.

— Precz! Nie zbliżaj się i nie patrz na nią!

Zadrżała całem ciałem, głos zamarł jej w piersiach.

Siedziała na szeslongu; dziewczynkę wpół objęła, a drugą ręką główkę do piersi tuliła.

— Moja.., moja... biedna!... — szeptała drżącym głosem.

Zarzuciła jej ręce obie na szyję, tuliła do piersi, przerażona, jakby zdziczała z bólu i strachu.

— Dręczył! pastwił się!... Bodaj on tyle dni konał, ile razy ja za drzwiami siedząc jęk jej słyszałem!.. Biedna... moja... Oh!...

— Bodaj on sam duszę swoją przeklął, tak jak ja go teraz z całej duszy przeklinam!

Zagadki literackie.

NOWA SERJA.

I.

Po ogłoszeniu w jednym z ubiegłych roczników »Tygodnia« garści odkrytych pseudonimów otrzymałem od kilku w literaturze zaszczytnie znanych osób liczne uzupełnienia i sprostowania.*) Dodatki te łącznie z częścią mego dotąd nieogłoszonego zbioru podaję obecnie do wiadomości Sz. Czytelników.

W poniższem zestawieniu umieściłem także pseudonimy używane przez Polaków pracujących na polach obcych literatur, np. Wiktor Russaków w rosyjskiej, T. de Wyzewa, Constant de Tours i Wanda we francuskiej (nie wspominając o głośnym i znanym autorze Chojeckim (Charles Edmond) i wielu innych); Aleksander Halka (hr. Lędochowska, gorliwa opiekunka niewolników w... Afryce i redaktorka organu towarzystwa afrykańskiego, lecz także i autorka pięknej książeczki opisującej podróż po Polsce, p. t. »Mein Polen«) i E. Lipiński w niemieckiej.

Zarejestrowałem również pseudonimy tłumaczy dzieł polskich na języki obce, np. Maks Hans (baron J. N. Pacumann, tłumacz wielu dzieł Kraszewskiego, Korzeniowskiego i Fredry na język niemiecki) oraz Stefania Łobodowa (S. Krapiwina, tłumaczka Kraszewskiego i Orzeszkowej na język rosyjski).

Jeden z pseudonimów »Autor Pana Czorlińsciego« muszę objaśnić kilku słowy, aby Sz. Czytelnik nie uważał go za omyłkę drukarską. Jestto bowiem płód literatury gwary kaszubskiej z okolic Pucka i Wajherowa w Prusach zachodnich.

Po znanym Florjanie Ceynowie, który około połowy bieżącego stulecia pisał w kaszubskiem narzeczu, zjawił się około roku 1880 drugi utalentowany autor, Hieronim Derdowski, współpracownik »Gazety Toruńskiej. Wydał on poemat »O Panu Czorlińscim co do Pucka po sece jechoł«, »Kaszuba pod Widnem«, »Jasiek w knieji, spora kupa łgorstw kaszebskich«, podpisując się Jarosz Dyrda, Jarosz Derdowski lub »Autor Pana Czorlińsciego«. Jest on także autorem kilku prac w czysto polskim języku, obecnie przebywa w Ameryce i pracuje na polu dziennikarsko-wydawniczem.

II.

Adin — Adolf Inlender,
Ajram — Marja Livery.
Alper J. J. — Albert Zipper.
Anheli — X. S. Feliński.
Antek z Hal... — K. A. Błachowski
Antek z Koła — Antoni Sarnecki.
As — A. Stroner.
Askier — Alfred Kobierzycki.
Autor »Antologji Polskiej« — Wład. Bełza.

*) Za udzielone łaskawie wiadomości składam niniejszem Sz. Pp. Korespondentom szczere podziękowanie.

Doktór chodził koło biórka, układając papiery i książki; ręce jego drżały zlekka.

Słuchając przekleństw, skinął głową.

Był zupełnie spokojny, jak zwykle, ile razy spotkał się z ludzką głupotą i niesprawiedliwością

* * *

Księżyc wysuwał się zwolna z poza lasu: szary zmrok słał się po polu; w powietrzu czuć było lekki przymrozek..

Po szerokiej piaszczystej drodze toczył się powóz wśród cichej rozległej przestrzeni, otoczonej ciemnym pierścieniem lasu...

Doktór otulony pledem, w czapce, nasuniętej na czoło, palił cygaro.

Struś gwizdał fałszywie, rozglądając się po polach.

Cisza, księżyc, zapach suchego rżyska usposobiły go melancholijnie, a melancholję miał nie tyle smutną, ile szpetną.

Przypomniał sobie, że jak w tej chwili, tak i przez całe życie zawsze był czyjimś mimowolnym towarzyszem, interesował się cudzą biedą, przejmował się cudzą sytuacją, gryzł się, martwił, wściekał, wyczekiwał, doznawał zawodów i rozczarowania; a gdy już krwi sporo napsuł, sporo czasu zmarnował i sił nadwerężył, gdy już był niepotrzebny, a nawet czasem zbyteczny, usuwał się, rozważał i po namyśle dochodził do przekonania, że nie powinien był brać do serca cudzej sprawy, że obeszliby się bez niego... że on zawsze jest tylko... piątem kołem u wozu!

Przestał gwizdać, splunął przez zęby i wpatrzył się w złotą tarczę księżyca nad ciemnym lasem.

Sam zaproponował doktorowi, że z nim pojedzie, licho wie po co? Widział go przygnębionym, zmęczonym, nie chciał puścić samego. Przez całą drogę nie przemówili do siebie ani słowa; w Jaworze nie będzie mu potrzebny, ale za to wrócą razem.

Spoglądał z ukosa na zamyśloną twarz doktora. W myślach jego czytać nie próbował, widział brwi ściągnięte, głęboką zmarszczkę na czole, przygarbione barki.

— Hm, dobrzem zrobił, żem z nim pojechał.

Autor »Czarnej księgi« — Wład. Czaplicki.
Autor »Kirgiza« — Gustaw Zieliński.
Autor »Marzycieli« — Józef Rogosz.
Autor »Mohorta« — Wincenty Pol.
Autor »Na Irtyszu« — Wład. Czaplicki.
Autor »Pana Czorlińsciego« Hier. Derdowski.
Autor »Powieści o Horożanie« — Wł. Czaplicki.
Autor »Żydzi i kahały« — Kalikst Wolski.
Autorka »Księżniczki« — Zofia Urbanowska.
Autorka »365 obiadów« — Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Baltazar - Juljusz Mien.
Banita ks. — ks. W. Szajkowski.
Baptysta — Jan Zacharjasiewicz.
Bartek z Radomyśla — Stan. Otwinowski.
Belmont Leo — Leopold Blumenthal.
Borian z nad Ptyczy — Aleks. Jelski.
Bohdan — Zbigniewa Zmorska
Bolecki Felicjan — Czesław Pieniążek.
Bolesław z Ukrainy — Bolesław Liwski.
Borszycki Ż. — Konstanty Górski.
Brona Paweł — Jan G. Pawlikowski.

Cameron de — Jan Płatkowski.
Celja — P. Miklaszewska.
Cham Samuel — Antoni Pawlik.
Chmurka — Helena z Kieszkowskich Prylińska.
Chłop z Litwy — Akielewicz Mikołaj.
Cholewa — Antoni Kleczkowski.
Czeladnik — Józef Chociszewski.
Człowiek szczery — Michał Kolasiński.
Czop Kalasanty — Czesław Pieniążek.

Derdowski Jarosz — Hier. Derdowski.
Domarat — Dr. Wł. Łebiński.
Drogomir — Zenon Pietkiewicz.
Dyrda Jarosz — Hier. Derdowski.

Epsilon — ks. W. Szajkowski.

Fedorowski Michał — Szczęsny Wład. Michałowski.
Felicja — Felicja Ostrożyńska.
Fertig — W. Bartynowski.
Francesco — Franc. Reinstein.
Fulgenty — Franc. Reinstein.

Gamaston — Gustaw Kamieński.
Godziemba — Węgliński.
Godziemba Kazimierz — Kazimira Stachiewiczowa.
Góral — Wincenty Bieroński.
Gryf Felicjan — Marja Gumplowiczowa.
Grzymała Michał — Michalina Zielińska.

Halka Aleksander — hr. Ledóchowska.
Hejnał — Stefan Buszczyński.
Hreczecha — Dr. Tadeusz Rutowski.

Janina — Janina Łozińska.
Janina — Kazimiera Stachiewiczowa.
Janko — Jan Kotowski.
Janusz — Jan Dobrzański.
Jaskółka Jan Nep. z Cieplic — J. N. Rajski.
Jaszczur — Piotr Jaksa Bykowski.
Jerzyna — Gustaw Czernicki.
Jił — Józef Łokietek.
Jot-ka — Jan Kasprowicz.
Józef z Leszma — Eryk Jachowicz.
Junior — L. German.

(C. d. n.). *Stanisław Bolwiński.*

I znowu zaczął gwizdać fałszywie.

W Jaworze był ostatni raz przed dziesięcioma laty. Szpetna, trochę śmieszna francuzka przylgnęła wówczas do niego. Najszpetniejsza kobieta jaką w życiu spotkał i... najbiedniejsza! Sama jedna wśród obcych, tęskniła strasznie. Śmieli się z jej egzaltacji, a ona na tę śmieszność — umarła!... Miał dla niej dużo współczucia, a jej się zdawało, że ją kochał. Ostatnie dni życia miała jasne, opromienione urojonem szczęściem, zgasła z myślą o nim, szpetna garbata dziwaczka... jedyna kobieta, która go szczerze kochała.

Pójdzie na jej grób w Jaworze. On jest jedynym człowiekiem, który o niej pamięta... Jak to czasem los dziwnie ludzi kojarzy!...

Wspomnienia takie grzeją może więcej, niż szczęście, które się z czasem w przesyt przemienia...

No, tak, musi przyznać, że miał i dobre chwile w życiu!

Zaśmiał się z cicha.

Doktór spojrzał na niego, podrzucił ramionami nieznacznie.

Zbliżali się do dworu.

Wjechali w błotnistą ulicę wioski. Po jednej stronie drogi szereg chat wieśniaczych, w okienkach migotało światło; po drugiej, wzdłuż zabudowań gospodarskich z cicha szumiały brzozy.

Psy wypadły na drogę z głośnem szczekaniem.

Doktór ocknął się, godniósł głowę, wpatrzył się w ciemny bukiet drzew na wzgórzu.

Na ganku stała Pola.

Księżyc oświecał dziedziniec otoczony drzewami, z olbrzymim klombem pośrodku, duży dom wprost bramy rzucał skośny cień do połowy podwórza, zakończony kominami, z których unosił się lekki obłoczek dymu.

Stłumiony turkot powozu dolatywał z oddali, cichł na chwilę i znowu się odzywał głuchem echem po polach, światłem księżyca zalanych.

(C. d n. *Ostoja.*

Prawne stanowisko kobiety.

(Dokończenie).

W ustawodawstwie włoskiem i inne istnieją przepisy, które obruszają go do żywego, a których usunięcia domaga się nasz autor. Pominąwszy przyjęte z kodeksu rzymskiego zakazy co do darowizn, są tam postanowienia, nielicujące z dzisiejszemi pojęciami o jakiej takiej wolności osobistej. I tak naprzykład nie wolno jest małżonkom za obopólną nawet zgodą zaprowadzić pomiędzy sobą powszechnej wspólności majątkowej, trzeba im się zadowolić wspólnością rent lub zarobku; po zawarciu małżeństwa nie wolno im w kontrakcie ślubnym zmienić ani odrobiny, nie wolno im sprzedać ani kawałka gruntu posagowego bez poprzedniego zezwolenia sędziowskiego i bez wykazania się, gdzie ulokowano lub na jakie wkłady obrócono sumę, otrzymaną ze sprzedaży. Giuriati nie ma też dość słów na napiętnowanie takiego mieszania się władzy państwowej w najwewnętrzniejsze stosunki prywatno-prawne i żąda, aby tego rodzaju kodeks przestał nareszcie ciemiężyć wolnych w zasadzie obywateli państwa.

Z niemniejszym zapałem przemawia sympatyczny ten pisarz za zniesieniem wszelkich przeszkód małżeńskich, które według prawa kanonicznego lub krajowego usunięte być mogą za osobną dopiero dyspensą. Głos ten donioślejsze ma we Włoszech znaczenie, ponieważ dzięki dwom wzajemnie się zwalczającym czynnikom — władzy świeckiej i uroszczeniom kościelnym — stosunki na tem zwłaszcza polu są tam bardzo powikłane.

Włochy mają instytucję obowiązkowych ślubów cywilnych; ślub, nie zawarty w dotyczącym urzędzie stanu, jest zatem nieważny, dla państwa poprostu nie istnieje. Dotychczas jednakowoż nie odważył się żaden rząd królewski nałożyć kary za udzielanie błogosławieństwa kościelnego bez poprzedniego stawienia się w urzędzie cywilnym, stąd też liczba stadeł, zadowalniających się rytuałem kościelnym, a zrzekających się prawnego zawarcia ślubu rośnie z każdym rokiem w sposób niesłychany. Według przybliżonych obliczeń pobłogosławił kościół we Włoszech od r. 1866—1892 przeszło 27.000 stadeł, które ani przedtem, ani potem sankcji państwowej wcale nie uzyskały. Jakie stąd wynika zamieszanie, jaka krzywda dzieje się urodzonym z takich małżeństw, a przez państwo za nieprawe uważanym i odpowiednio do tego traktowanym dzieciom, nad tem rozwodzić się nie potrzeba. Dzięki takim anormalnym stosunkom, wolno jest dzisiaj jednej i tej samej osobie zawrzeć ślub w kościele, a jutro z kim innym w urzędzie cywilnym lub odwrotnie bez obawy, że ściągnie na siebie zarzut dwużeństwa. Natomiast niezmiernie małą jest liczba małżeństw, któreby po zawarciu ślubu zrzekały się błogosławieństwa kościoła. »Bo«, powiada Giuriati, »w dniach najgłębszej boleści i najwyższej radości berło dzierży kobieta. Rozkazem jej prośba, uświęconem jej życzenie, a ona, wierząca, czy zabobonna, łaknie zawsze błogosławieństwa z góry. Wolnodumiec, wczoraj jeszcze piorunujący na pierścienie, któremi wąż klerykalny chce owinąć ludzkość, zapomina dzisiaj o swych teorjach filozoficznych, zamierzając powrócić do nich jutro. Ale jakżeż to mógłby on w dniu uroczystym cośkolwiek odmówić tej, co dla niego porzuciła matkę, siostry, ojca i dom rodzicielski, a może nawet ojczyznę? Tego ducha silnego, pełnego tak śmiałych przekonań, dopóki idzie o niego samego, ogarnia więc nowe, nieokreślone uczucie, do którego sam się nie przyznaje, z którego przynajmniej nie zdaje sobie sprawy, ponieważ jest głupstwem, słabością uczucie, zapytujące go się, czyby na prawdę było pożądanem, ażeby towarzyszka jego była również wolnomyślną emancypantką, niechcącą nic wiedzieć o błogosławieństwie niebieskiem, zdecydowaną nie uginać się przed nikim. Jestto — powtarzamy — głupstwo, słabość; ale jeżeli nadobne to dziecię samo na stanowisku tem nie stoi, ma-ż być jego właśnie zadaniem czynić przełom w jej przesądach i uczyć jej sztuki lekceważenia sobie wszystkiego?« »W dniu tym kościół odniósł zwycięstwo; jego potęga przyciągająca silniejszą była, aniżeli siła społeczności świeckiej i to właśnie tłómaczy nam, dla czego błogosławieństwo kościelne przeważa nad stadłami bez błogosławieństwa kościoła, nad stadłami, których »u nas tak mała, tak bardzo mała jest liczba«.

Wobec takich stosunków dochodzi autor do rozpaczliwego z jego stanowiska wniosku, aby dla wybawienia ojczyzny od tych anormalnych stosunków, powierzyć napowrót kościołowi funkcję zawierania małżeństw prawnych, zadowalając się nieobowiązkowymi ślubami cywilnymi.

Koniec, a zarazem najgłówniejszą część dzieła poświęca Giuriati wywalczeniu rozwodów, których Włochy razem z Hiszpanją i Portugalją, dotychczas nie posiadają. Ideji tej bronił autor w piśmie i słowie od długiego szeregu lat; a książka jego, zwłaszcza zaś dodany do niej traktat, którym autor imieniem komisji parlamentarnej, zdawał izbie deputowanych sprawę z wniesionego jeszcze w r. 1883 przez ministra Zanardellego projektu ustawy rozwodowej, świadczą o znakomitem opanowaniu przezeń tego przedmiotu. Domaga się on pomiędzy innemi, ażeby zobopólny wstręt i zobopólne przyzwolenie małżonków dopuszczono jako przyczynę rozwodu już choćby dla tego, ponieważ starającym się o rozwiązanie małżeństwa daną jest w ten sposób możność nieporuszenia spraw,

o których bez najgłębszej odrazy mówić niepodobna. Zbyt wielkie ograniczenia prowadzą do obchodzenia ustawy; para małżeńska, chcąca się rozwieść, łatwo znajdzie prawną przyczynę zerwania; wystarczy podać ciężką obrazę cielesną, do której druga strona dobrowolnie przyznać się może, albo też powołać się na złośliwe opuszczenie, ażeby cel, tj. rozwód osiągnąć. A gdyby wszystkie powody prawne chybiły celu, to pozostaje jeszcze małżonkom faktyczne rozłączenie się i bez wyroku sędziowskiego, przyczem powaga małżeństwa i moralność tak samo nie wiele zyskuje, jak przy separacji od stołu i łoża. Do czego zaś tego rodzaju procedura prowadzi, na to przytacza autor szereg dramatycznych przykładów, którymi jednak zajmować się nie będziemy, pragnąc jedynie tym ogólnikowem streszczeniem zwrócić uwagę na dzieło, przesiąknięte duchem nawskroś nowożytnym.

Rozbiory i sprawozdania.

Prof. Dr. Mucke: „Horde u. Familie in ihrer urgeschichtlichen Entwickelung. Eine neue Theorie auf statistischer Grundlage. Stuttgart 1895.

W miarę jak etno- i socjologja zbliżają się do upragnionej chwili unormowania metody i zakresów swych badań, powstają coraz nowe i nowsze „teorje“, mające mniej lub więcej na celu chwilę tę przybliżyć — przyspieszyć czas rozwoju tych umiejętności. W szeregu takich prób, staje obecnie także „nowa teorja“ Dra R. Muckego, prof. statystyki na uniwersytecie w Dorpacie. „Teorja“ ta nosi w książce jej twórcy tytuł: „Horda i familja“ i rzeczywiście dwa te wyrazy oznaczają możliwie najdokładniej ogólną treść poglądów autora. „Horda“ jest dla prof. M. pierwotną komórką społeczną, z której rozwinął się wszelki postęp ludzkości; — „familja“ jest niczem innem, jak niewolnictwem, które w różnych formach (niewolnicy lub niewolnice) wytwarza się obok „hord“ i wpływając na nie, robi późniejszą ewolucję społeczną ludzkości zależną od współdziałania *Hordy i Familji*. W „hordzie“ decyduje o wszystkiem „mistyczny“, czysto emocjonalny „porządek przestrzenny“, na mocy którego dzicy dzielą się na szereg oddziałów, a że oddziały są złożone z członków, zbliżonych sobie nie tylko „przestrzenią“ lecz także wiekiem, otóż — „układ przestrzenny“ — „przeznacza“ tem samem także pierwotne małżeństwa w „hordzie“. Oddziały męskie są od żeńskich oddzielone, małżeństwa „przeznaczone“ odbywają się publicznie — wśród pląsów erotycznych i co najciekawsze są ściśle monogamiczne. Dlaczego? Oto! pisze prof. M. — dlatego, że człowiek pierwotny wszedłszy w stosunek płciowy z jedną kobietą — nie jest na przyszłość emocjonalnie przystosowany do innych tego rodzaju związków.

Cała „psychologja“ ludów pierwotnych jest zdaniem autora — jednym wielkim dowodem słuszności jego zapatrywań; niestety, nie potrafił nam prof. M. psychologji tej rozwikłać. Jest ona mimo jego apriorystycznych spekulacji filozoficznych ciemną kartą dla nauki, jak nie mniej ciemne są dowody etymologiczne, które obok wrzekomej psychologji dzikich są drugą częścią składową metody autora „hordy i familji“. Tę psychologiczno-etymologiczną metodę nazywa prof. M. — metodą „statystyczną“, a teorję swą „statystyczną syntezą“. Na jakiej podstawie? Niewiadomo! chyba dlatego, że autor sam jest profesorem statystyki.

„Familja“ dzieli się zdaniem prof. M. na „androkratyczną“, w której niewolnice pracują na „panów“ i gynekokratyczną, w której odwrotnie — niewolnicy pracują na swe „panie“. Wpływ „familji na „hordy“ rozpoczyna się wrzekomo wówczas dopiero, kiedy „panowie“ i „panie“ zbliżają się płciowo do żywiołu niewolniczego. Wówczas to żywioł ten wstępuje na drogę stopniowej emancypacji społecznej, na której odtąd pozostaje stale aż do czasu, w którym względy „przestrzenne“, decydujące w „hordzie i familji“ zanikają, a wytwarzają się natomiast pokrewieństwa w płciowem tego słowa znaczeniu, dostępne zarówno dla dawnych wolnych obywateli „hordy“ jak i dla niewolników (względnie niewolnic) „familji“. O tym stopniowym „wpływie familji na hordę“, pisze prof. M. wiele i wyczerpująco, jak niemniej o mieszkaniach ludów pierwotnych, ale z zapatrywań autora opiera się przeważna ich część na tak niedostatecznych kryterjach, jak psychologja dzikich i etymologja wyrazów. Tym kryterjom poświęca autor nawet fakty etnograficzne, mało ich cytuje i jeszcze mniej z nimi się liczy, a przecież w zakończeniu swej książki jest przekonany, że tylko on jeden wynalazł jedynie dobrą metodę i jedynie uzasadnioną teorję w socjologji. Nie możemy podzielać dobrego mniemania, jakie ma prof. M. o swych własnych zapatrywaniach umiejętnych; przeciwnie teorja o „hordzie i familji“ jest zdaniem naszem oryginalną wprawdzie, lecz na bardzo słabych premisach opartą konstrukcją logiczną; jestto niejako zamek piękny i silny — ale na lodzie postawiony.

Tyle tylko można z twierdzeń tej teorji przyjąć, ile z nich zgadza się z dawniejszemi badaniami Spencera, Morgana, Darguna i i.; ogólnie zaś wziąwszy, to jest ewolucja „hordy i familji“ nową, ale bardzo mało popartą umiejętnie formą, na określenie ewolucji komun archaicznych i „państw“ pierwotnych.

Dr. G.

Przegląd pism.

„Ateneum“ — Styczeń — Luty — Marzec — Warszawa 1896.

Najobficiej reprezentowanym jest w „Ateneum“ w wymienionych zeszytach dział: „Rzeczy społeczne i spółczesne“.

W dziale tym p. M. J. w treściwym artykule pt. „W obronie nauki“, zastanawia się nad znaną, a reklamowaną przez zachowawców rozprawą ks. Dębickiego „Wielkie bankructwo umysłowe XIX w.“, a skonstatowawszy tendencyjność autora i brak tolerancji dla obcych przekonań, dochodzi do wniosku, że „kierunek reakcyjny, objawiający się obecnie, nie zabije wprawdzie nauki, ani nawet nie zwróci jej z drogi, po której zmuszoną jest postępować, a z czasem tak przeminie, jak już wiele razy przemijał, może jednak przynieść niemałą szkodę ludzkości, opóźniając znów na długie lata postęp — ostateczne jednak zwycięstwo wiedzy nie może ulegać żadnej wątpliwości“.

Gruntownej i słusznej krytyce poddaje p. Malinowski w artykule „O przeszłej wojnie“, pracę p. J. G. Blocha pt. „Przyszła wojna, jej ekonomiczne przyczyny i skutki“, drukowaną w Bibl. warsz. w latach 1893—4.

E. Trepka w rozprawce „Kwestja społeczno państwowa w Anglji“, stwierdziwszy, że stronnictwo zachowawcze przyszło obecnie tamże do władzy i objaśniwszy, że zachowawcy popierają socjalizm państwowy, zastanawia się obszerniej nad dwoma kwestjami społecznymi, mianowicie nad kwestją dostarczania pracy robotnikom przez państwo, oraz na pensją emerytalną dla niezdolnych do pracy skutkiem starości robotników. Pierwszą kwestję usiłuje społeczeństwo angielskie rozwiązać przy pomocy „domów pracy“, przez nakładanie na organizm państwowy oraz jego czynniki reprezentacyjne obowiązku dostarczania pracy potrzebującym, oraz przy pomocy drugorzędnych środków (bióra pracy, kolonie rolnicze itd.). Jednym z tych środków jest *List system* polegający na stałem zatrudnianiu pewnej liczby niezbędnych robotników, a ugrupowaniu reszty w pewną ilość klas, które w miarę potrzeby jedne po drugich do dodatkowej pracy powołanemi bywają“ Do rozwiązania tej kwestji przyczyniają się także stowarzyszenia robotnicze *(Trades-Unions)* towarzystwa wzajemnej pomocy *(Friendly societies)* oraz liczne instytucje filantropijne.

Kwestję pensji emerytalnej usiłują Anglicy załatwić przy pomocy ubezpieczenia „pół-obowiązkowego“, do którego przyczyniają się zarówno państwo, jak i robotnicy.

W dziewiątym z rzędu rozdziale rozprawy pt. „Sprawy ekonomiczne“ omawia p. Iwanicki budżet Warszawy, skąd dowiadujemy się, że dochody tego miasta w 1895 r. osiągnęły wysokość 5.349,972·10 rubli, rozchody zaś 5,348.693·41 r.

W artykule „Wyniki ubezpieczenia robotników w Niemczech“ dr. Artur Penis, opierając się na materjale statystycznym, wykazuje, że w obecnym systemie gospodarczym ubezpieczenie robotników aczkolwiek nie jest wystarczającem, w każdym jednak razie jest nieocenionem dobrodziejstwem.

Z powodu spisu ludności, mającego nastąpić w Rosji w latach 1896—8, p. Holewiński poświęca tej sprawie kilka uwag w artykule „Pierwszy spis ludności“, zaznajamiając przy tej sposobności czytelników ze sposobem spisu dokonanego we Francji w 1891 r.

W artykule „Zupy szkolne“ p. Zen. Por. omawia treść książeczki p. Césara *Les soupes scolaires,* w której autor wykazuje, że dostarczanie pożywienia uczniom ubogim za pośrednictwem towarzystw, w tym celu zawiązanych jest rzeczą nadzwyczajnie użyteczną i na jak największe poparcie zasługującą. — Kwestją szkolną zajmuje się także znany czytelnikom naszym współpracownik „Tygodnia“ p. A. Potocki w rozprawie „Szkoła publiczna we Francji“ podając dokładny obraz rozwoju szkolnictwa w latach 1789—1870.

P. W. Domański w artykule „Teorja własności“ po zaznaczeniu faz ewolucyjnych własności (własność gminna, rodzinna, indywidualna), po krytycznem rozpatrzeniu systematów teorji własności, oparłszy ją na zasadzie użyteczności, stara się wykazać, że kolektywizm nie wytrzymuje krytyki.

Wiadomości bibljograficzne.

Encyklopedja ilustrowana wiadomości pożytecznych. Nakładem Michała Arcta w Warszawie. Zeszyt 6. Dafnia — Dystylacja suchego drzewa.

Kętrzyński W. O Kronice wielkopolskiej (Odbitka z XXXIII tomu Rozpraw Wydziału histor.-filoz. Akademji umiej.). Kraków, str. 54.

Korzon Tadeusz. Historja starożytna, sposobem elementarnym wyłożona, wyd. 3cie przejrzane i poprawione. Warszawa 1896, str. VII i 346, z 2 mapami, 1 tabl. i licznymi drzeworytami w tekscie.

Kozłowski Wł. M. Manfred, Hr. Henryk i Płoszowski jako przedstawiciele trzech pokoleń XIX. stulecia. Studjum z psychologji społecznej. Warszawa 1896 str. 74.

Kozłowski Wł. M. Klasyfikacja umiejętności ze stanowiska potrzeb wykształcenia ogólnego. Warszawa 1896. Str. 25.

Ligęza Jan. O początkowem wychowaniu ciemnych dzieci. Odbitka ze „Szkoły“. Lwów 1896. Str. 15.

Manteuffel Gustaw. Cywilizacja, literatura i sztuka w dawnej kolonji zachodniej nad Bałtykiem, na podstawie badań najnowszych (Odbitka z Przewodnika nauk. i liter.). Lwów 1896, str. 78 i 1 nl.

Ołtuszewski Władysław dr. Rozwój mowy u dziecka, oraz stosunek tego rozwoju do jego inteligiencji Studjum psycho-fizjologiczno-biologiczne, napisał... Wydanie z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia Dra Józefa Mianowskiego. Warszawa 1896. Str. 80.

Pawlik Stefan dr. Rzut oka na działalność kolonizacji niemieckiej w Wielkopolsce (Odbitka z Przeglądu polskiego). Kraków, 1896, str. 29, z mapą.

Piątkowski Henryk. Maksymiljan Gierymski, kartka z dziejów sztuki (Przedruk z Bibljoteki warszawskiej). Warszawa 1896, str. 66, z portretem.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.